

Kammena

LUBLIN 13 V 1979 NR 10 (678)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

9 MAJA — DZIEŃ ZWYCIĘSTWA

POD BUDZISZYNEM

wtedy i po latach

Wiktor Szaroń — płk rezerwy

JESIENIĄ 1944 r. lasy Ziemi Chełmskiej rozbrzmiewały odgłosem komend i warkotem motorów, tętniły życiem obozowym. Był to okres formowania jednostek i korpusu pancernego. Jako nowo promowany oficer otrzymałem przydział do 24 pułku artylerii pancernej, stacjonującego w Nowinach pod Okszowem koło Chełma.

Listopad był miesiącem, w którym historia tego „chełmskiego” pułku odnotowała wiele ważnych wydarzeń. Z dalekich fabryk Związku Radzieckiego nadszedł transport dział pancernych SU-85. Były to szybkie i zwrotne pojazdy samobieżne wagi ok. 30 ton, na podwoziu czołgu T-34. W chełmskim magistracie społeczeństwo miasta dokonało uroczystego wręczenia sztandaru pułkowego. Sztandar przejmował dowódca pułku, ppłk Wiktor Artiomienko. Na błoniach w Nowinach odbyła się przysięga wojskowa.

W styczniu 1945 r. korpus pancerny osiągnął pełną gotowość bojową i po pamiętnym pożegnaniu na stacji ko-

Dokończenie na str. 4-5

W NUMERZE:

MAJDANEK
-WIZJA
LOKALNA

Ireneusz J. Kamiński
str. 3

W następnym
numerze
dyskusja
nad książką

ZYGMUNT MANKOWSKI

MIEDZY
WISŁĄ
A BUGIEM
1939-1944

WYDAWNICTWO LUBELSKIE



Epilog ...

Fot. Archiwum

Pokaż mi swoje książki a powiem ci kim jesteś

Bronisław Kowalski

W SROD kilku osobistych manii mam jedną, absolutnie nieuleczalną: kiedy wchodzę do czyjegoś domu, to zanim się rozgoszczę u gospodarzy, oglądam ich bibliotekę. Jest to przyzwyczajenie nie-dobre, bo żeby potem owi ludzie mówili nie wiadomo co, żeby się starali mnie odstręczyć od siebie, lub ku sobie zachęcić, pozostaję w mniemaniu o nich nabytym w trakcie przeglądania grzbietów ich książek.

Na propozycję zajrzenia do prywatnej biblioteki — zauważyłem — większość osób reaguje, jakbym zamierzał przetrząść ich bieliznę osobistą. A pewien pan, mieszkaniec eleganckiego domu w willowej dzielnicy, po prostu przepędził mnie, gdy wyjawilem pragnienie obejrzenia jego biblioteki i porozmawiania o tym, co i jak czytuje.

Albo miał zbiór tak drogocenny, że aż niegodny oczu byle kogo, albo nie z książek obaj byśmy w tej willi nie znaleźli. Ale udało mi się w kilku innych, gościnniejszych domach w Lublinie przejrzeć biblioteki i porozmawiać o czytelnictwie naszym powszednim.

W jednym z takich mieszkań stanąłem przed półkami wręcz olśniony. Oto rozkwitał przede mną niemal dwustutomowy zbiór wydawanych w różnych seriach powieści J. I. Kraszewskiego. Była to kolekcja imponująca. Większą liczbę dzieł J. I. Kraszewskiego oglądałem na półkach za szkłem tylko w muzeum pisarza w Romanowie. Owa biblioteka stanowiła samodzielnie funkcjonującą odrębność w bogato urządzonej mieszkanie. Nabrałem sympatii do kosztownych bi-

belotów, kryształów, waz, kinkielów, foteli, które otaczały dość skromny na tym tle mebel z książkami. Oto przykład, pomyślałem, jak można pogodzić tracącą nowobogactwem manię do lokowania kapitału w „ozdobasy” z miłością do pisarstwa. Ze tylko Kraszewskiego? Nie karygodnego — osobiste przyzwyczajenie. Tak sobie myślałem, dopóki nie dowiedziałem się, że ów szereg powieściowców, niespodziewany w opisywanym wnętrzu, został pozyskany w spadku po jednym z członków rodziny i od tamtej pory praktycznie nie jest „używany”.

W innym mieszkaniu gospodarze o wiele chętniej chcieli rozmawiać o przywiezionym z zagranicy kosztownym serwisie, który ozdabiał całościenny komplet szaf i regałów na wysoki polski, niżli o bibliotecę. Obok serwi-

su i kilkudziesięciu kryształowych pu-charków „mieszkał” w osobnym schowku telewizor, a nad nim jedna jedyna półeczka z trzydziestoma książkami. Tytuły dość przypadkowe, przeważnie wydawnictwa z początków lat sześćdziesiątych, beletrystyka raczej lekka, ale znalazł się tam Tuwima „Słownik pijacki”. Rzadki okaz wydawniczy, to fakt.

— Znajomi mają zawsze wiele uciechy, gdy to oglądają i każdy sięga po tę książkę — objaśniał uradowany moim zainteresowaniem gospodarz. Odnależliśmy dość oryginalny toast: „Hop, siup, cztery baby, osiem d...” i nad rozmowy o czytaniu gospodarz przełożył proponował praktyczne wykorzystanie zaleceń słownika.

Dokończenie na str. 4-5



Fot. J. Trembecki

Wszystkie cytaty drukowane korespondentem z pamiętnika opublikowanego w 1966 roku przez Wydawnictwo Lubelskie pt. „185 dni na Majdanku”, a napisanego przez Jerzego Kwiatkowskiego, który jako więzień nr 8820 przebywał w lubelskim obozie koncentracyjnym, obecnie zaś mieszka w Stanach Zjednoczonych AP.

tych Żydów wybrał straszną śmierć, tuż przed rannym apelem, wtedy gdy bloki ustawiały się na polu i latryna była już pusta, skoczył do dołu kloaczego i utopił się w ekskrementach. Apele trwały parę godzin i po rozpaczliwym przeszkaniu wszystkich zakamarków wpadła komuś do głowy myśl, by kijami przeszukać doły kloaczne — w jednym z nich namacano ciało ludzkie.

Telewizja kręci niezamordowania, notuje na taśmie konstatacje Niemców i Polaków, wszystkie prawie dyskusje stron zostają utrwalone. Materiału starczy na pewno na dokument średniego metrażu, choć może brakuje w nim nuty polemicznej, kontrowersyj. Trzeba przyznać, że prawnicy z Hanoweru znajdują się taktownie, nie zadają pytań dwuznacznych, prowokujących — interesują ich przede wszystkim fakty o charakterze technicznym, rzeczy wymierne, przeliczalne, choć widać, że Majdanek zrobił na nich wrażenie. Zresztą i zwykle wybieżki z RFN, które pojawiają się od czasu do czasu na terenie byłego obozu, są bardzo powściągliwe i rzadko pytają o cokolwiek przewodników. Warto przy tym wiedzieć, że do Lublina przyjeżdża stosunkowo wielu obywateli RFN. W minionym roku Muzeum na Majdanku odwiedziło 1029 Niemców z Republiki Federalnej czyli o 300 więcej, niż w 1977 r. Daje jednak do myślenia fakt, iż liczniej bywają tu Amerykanie, Węgrzy, Francuzi, nie mówiąc o obywatelach Związku Radzieckiego, których 10 665 obejrzało komory gazowe, baraki i krematorium w 1978 r. Niektóre z tych wizyt mają charakter tyle osobisty, co dramatyczny.

Swego czasu odwiedził Majdanek Piotr Kiriszczenko z białoruskiej Białej Cerkwi, przywoząc z sobą dwa wieńce — bo tu właśnie zginęła jego matka i brat, a on sam, dziesięcioletni wówczas chłopiec, ocalał przypadkowo dzięki opiece kobiety, o której wiedział tyle tylko, że na imię miała Monika. Nie mogąc odnaleźć owej byłej więźniarki w Polsce, przywieziony

WIZJA LOKALNA

Ireneusz J. Kamiński

DZIEN był pogodny, słoneczny, rozległe pola Majdanka zieleń się już lekko młoda trawą, nawet ciemnobrązowe baraki przypominały zabudowania jakiegoś wielkiego folwarku, tylko chwilowo opuszczonego przez ludzi. Ten ciepły, łagodny pejzaż mąciły co prawda ostre sylwetki wież strażniczych i druty kolczaste ogrodzenia, ale słońce rozmazywało ich groźne kształty, wydobywając z ziemi delikatną mgiełkę. Trudno się zatem dziwić, że kamerzysta telewizji zachodniemieckiej (NDR) z Hanoweru zdejmował od czasu do czasu ciężki sprzęt z ramion i siadał na krawężniku poobozowej ulicy, wystawiając spoconą twarz do słońca. Był to człowiek młody, około czterdziestki, ale na pewno starszy o kilka lat od szefowej ekipy, drugi dzieć z rzędu kręcących zdjęcia na Majdanku, w związku z procesem Karla Galki w Hanowerze, człowieka — jeśli można tak powiedzieć — który pełnił niegdyś funkcję kapo w lubelskim obozie koncentracyjnym i mimo dwudziestu lat życia dał się poznać jako pracownik szczególnie gorliwie wypełniający obowiązki: ku chwale Rzeszy i dla własnego interesu.

Lagerältester Bürzer z swoim pupilem, kapo Karlem Galką z Wiednia... przyszedł pijani około północy do bloku 5, na którego czele stał Neumeister, i zażądali od niego wydania złota. Neumeister twierdził, że go nie ma, wtedy zaczęli go dusić, doszło do szamotania i krzyków. Wówczas kazali mu się ubrać i wyjść z nimi. Wyprowadzili go na pole i tam znów zaczęli go „prześtuchiwac”. Widocznie tam przyznał się, że biżuterię ma schowaną u pewnego Polaka. Jednak Bürzer z Galką tym się nie zadowolili. Neumeistera potwesili na jego własnym pasku...

W słoneczny poniedziałek, 23 kwietnia, pojawiła się na Majdanku jeszcze jedna ekipa z RFN: przewodniczący składu sędziącego Galkę w Hanowerze — sędzia Engelke, dwóch sędziów — Boenig i Hase, dwoje ławników, prokurator Führer, oskarżyciel posiłkowy — mecenas Rizer i obrońca oskarżonego — adwokat Pilz. Towarzyszyli mu: sędzia Sławomir Litwiński z Główniej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, prokurator Bronisław Wróblewski, przewodniczący Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie, oraz pracownicy Muzeum na Majdanku: dyrektor Edward Dziadosz, Edward Gryń i Czesław Rajca. Prawnicy z RFN przyjechali do Lublina w celu dokonania wizji lokalnej miejsca, w którym działał niegdyś kapo Galka, osadzony na Majdanku za próbę dezercji z Wehrmachtu, która nie miała nic wspólnego z motywami natury ideologicznej czy moralnej. Po prostu Galkę nie uśmiechało się nadstawianie głowy na froncie...

Cała grupa sprawiała dobre wrażenie. Niemcy dokładnie oglądali obiekty poobozowe, interesowali się wieloma szczegółami technicznymi, a broniący Galkę mecenas Pilz stwierdził, że rzeczywistość Majdanka przerosła jego najgorsze wyobrażenia. Wysoki, barczysty i brzuchaty adwokat podszedł nawet w pewnej chwili do naszego fotoreportera i z pewnym zdumieniem zauważywszy w dłoni Jana Trembeckiego japońskiego „Canona”, pochwalił go za posiadanie takiego sprzętu.

Obie niemieckie ekipy — sądowa i telewizyjna — nie kontaktowały się z sobą, jakby mijając się nawet w pierwszym etapie wizji. W tym czasie jedyny żywszy stosunek zawiązał się między kamerzystą a mecenasem Pilzem, uzbrojonym w małą amatorską kamerę; stojąc oko w oko, w odległości kilku metrów od siebie, filmowali się nawzajem przez minutę albo dłużej.

Dużo uwagi prawnicy z Hanoweru poświęcili szubienicy stojącej obecnie w jednym z baraków, a nigdy służącej do egzekucji więźniów.

W milczeniu odmawiał „Wieczne odpoczywanie”. Cisza na placu trwała może 10 minut. Pada komenda: „Mützen auf”. Esesmani zapuszczają motory motocykli i odjeżdżają. Trup wisi nieruchomo, niemal palcami dotykając ziemi. Przy wieszaniu, asystował Wyderka i kapo Galka. Odmaszerowujemy do swoich bloków. Z odległości jakichś 20 kroków widzimy, jak Galka kopie trupa w pośladek, następnie obraca wstając ciało w jedną stronę, a po chwili puszcza sznur swobodnie i ten zaczyna odkręcać się wraz z trupem w stronę przeciwną; potem na oczach tysięcy więźniów Galka oddaje moc na nogi wisielca.

Wreszcie ekipa dotarła na pole nr 3, szczególnie interesujące sędziów, prokuratora i obrońcę. Chodziło o sprawdzenie, czy w znajdującym się tam basenie hydrantowym można było utopić człowieka i czy fakt ten mogli widzieć więźniowie pobliskiego baraku, obserwujący teren przez szczeliny we wrotach. Specjaliści z MO wykonali stosowne pomiary, a Niemcy zanotowali, że studzienka posiada: 70 cm głębokości (niegdyś o 15 cm więcej), 2,85 m długości w najszerszym miejscu, 1,33 m w węższym i jest oddalona od baraku o 26,40 m...

Lagerältester Bürzer wynalazł sobie jakąś kobietę, którą kupił za miłą kartofli... Prześladuje cały dzień na jej bloku i nie krępuje się w obecności tysięcy osób spać z nią w jednym łóżku. W nocy słyszymy w pobliżu bloku 3 jęki i okrzyki: „Rodacy, ratujcie!” Zrywamy się z Pietrońcem na równe nogi i ostrożnie wypłdamy przez lekko uchylone drzwi bloku. Nie opadał znajdując się basen. Widzimy tam sylwetki trzech mężczyzn:

wolającego o ratunek, wysokiego szczupłego Galkę i jakiegoś krępego, niższego mężczyznę. Po chwili słyszymy znany nam ochrypły głos Bürzera. A więc to on. Razem z Galką wciągają do basenu nieznanego człowieka, który ze wszystkich sił się broni... W pewnym momencie krzyki milkną. Podenerwowani kładziemy się do łóżek, bo Bürzer może wejść do bloku. Rano przed apelem podchodzimy do basenu i ku naszemu przerażeniu widzimy pływającego tam trupa, z rękami związanymi sznurem. Oficjalnie uznano go za samobójcę. Okazało się, że to mały obywatel Bürzera. I znów ze strony władz obozowych nie ma żadnej reakcji. Zdegenerowany morderca grasuje bezkarnie po polu i wybiera sobie ofiary.



Fot. J. Trembecki

Niemcy i Polacy udali się następnie do pobliskiego baraku, gdzie sędzia Engelke, człowiek około czterdziestki, przekonał się naocznie, że przez szparę w drzwiach basen widać jak na dłoni. A gdzie była ubikacja? — zapytał któryś z jego kolegów. Do tego celu służyła skrzynia, której zawartość wyrzucano do latryny między barakami — usłyszał w odpowiedzi.

Zaczynają się samobójstwa Żydów, którzy widzą beznadziejność swojej sytuacji w obozie, nie mówiąc już o tym, że nerwowo gorzej znoszą obóz aniżeli Aryjczycy... Jeden z inteligent-

dla niej złoty zegarek podarował dziesięcioletniej Monice z Lublina. Historia ta trafiła na łamy prasy i po roku dała o sobie znać autentyczna Monika, mieszkająca właśnie na Śląsku! Zaproszona przez Kiriszczenkę do Związku Radzieckiego, spotkała się z manifestacyjnym przyjęciem na lotnisku w Kijowie. Zresztą w tym ogromnym

Dokończenie na str. 12

Kamena str. 3

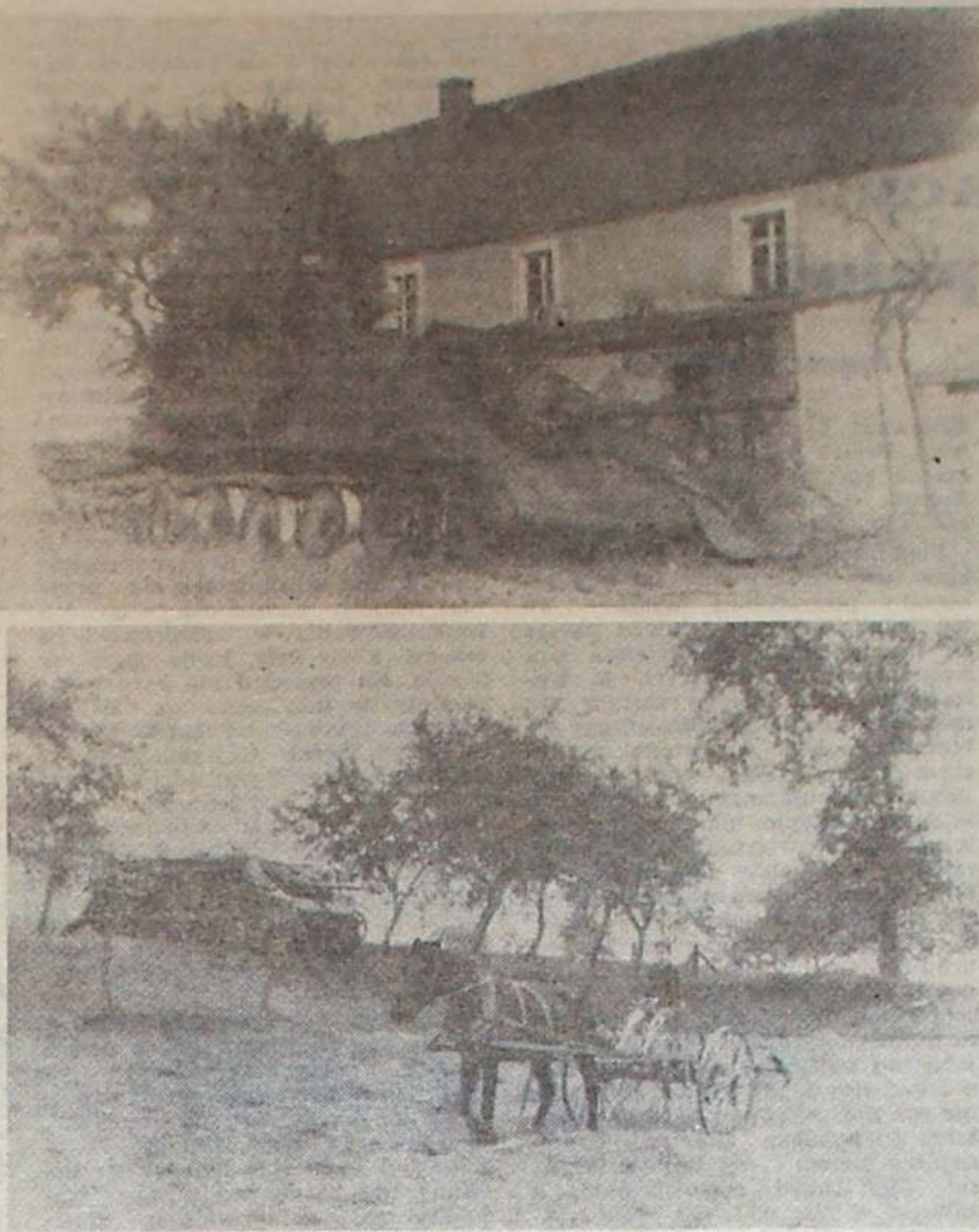
Zapadał zmierzch, gdy dobrnęliśmy do zbawczego lasu. Oczekiwał nas tutaj łącznik-motocyklista z rozkazem odwrotu. Na nic nie udało mu się jego tłumaczenie, że będąc pod silnym ostrzałem nie mógł do nas czas dotrzeć. Otrzymał nagle mu, namacalne i zapewne długo odczuwalne podziękowanie.

Na koniec okazało się, że znajdujemy się w okraczeniu. Rozpoczęło się, obfitujące w równie fascynujące, co tragiczne momenty, przedzieranie się do swoich. Obok kpt. Tkacza byłem jednym z nielicznych szczęśliwców, którym się to udało.

Po zwycięskim zakończeniu wojny przez pewien okres czasu przebywałem w Budziszynie, w radzieckiej bazie remontowej ze swoim pokiereszowanym wozem. Wówczas to wraz z pozostałymi członkami załogi odwiedziliśmy teren niedawnych walk. Na miejscowym cmentarzu w Teichnitz pochowaliścmy szczątki naszego kolegi, st. sierż. Peterki. Był to właściwie pogrzeb symboliczny, gdyż oprócz kawałka kości z kręgostłupa nie więcej nie zachowało się w spalonym maszynie. Niemniej jednak żołnierskim obyczajem usypaliśmy mogiłę, na której ustawiliśmy brzoźowy krzyż z tabliczką z imieniem i nazwiskiem poległego. Na poboju stwierdziliśmy liczne szczątki poległych, a we wraku hitlerowskiego dział pancernego znaleźliśmy szczątki niemieckiego mechanika-kierowcy.

Od opisanych wydarzeń minęło 30 lat, kiedy udało mi się urzeczywistnić od dawna zamierzone odwiedziny Teichnitz. Korzystając z pomocy niemieckich towarzyszy, pojechałem wraz z nimi do Budziszyna. Po zgłoszeniu się w miejscowym hotelu ustaliliśmy, że ze względu na późną porę wybierzemy się do Teichnitz nazajutrz rano. Byłem — muszę przyznać — podniekowany sytuacją, w której miałem spełniać rolę przewodnika i narratora. Obawiałem się, że nie trafię, że nie rozpoznam znanych mi przed laty miejsc. Dlatego też jeszcze tego samego dnia udałem się na osobisty rekonesans.

Z centrum miasta, przez most na Szprowie, doszedłem do wiaduktu pod autostradą i zatrzymałem się przed tablicą z napisem „Teichnitz”. Byłem więc na miejscu. Od centrum miasta nie było w prostej linii więcej niż 1,5 kilometra. Za chwilę byłem już na cmentarzu, ale nie znalazłem znajomej mogiły. Zapadał zmrok. Z daleka ujrzałem jeszcze zarysy budynków, wśród których powinien znajdować się również ten, w którym stacjonował nasz sztab. Wzruszony powróciłem do hotelu.



„Wręczył mi fotografię mojej spalonej „suki” i wraku hitlerowskiego dział pancernego”...

Fot. Archiwum

Rankiem wyruszyliśmy dwoma samochodami. Pewnie doprowadziłem do ostatnich zabudowań Teichnitz. Dom poznałem od razu, mimo że był przebudowany i że wokół znajdowały się nowe budynki gospodarcze. Na nasze spotkanie wyszedł starszy mężczyzna — jak się okazało — gospodarz domu. Przedstawiwszy się jako Paul Muschik, zapytał, co nas do niego sprowadza. Z kolei i ja po przedstawieniu się odpowiedziałem, że jestem z Polski i przyjechałem tu specjalnie, aby odwiedzić

miejsca, z którymi wiąże wspomnienia z okresu wojny. Gospodarz wziął mnie widocznie za jednego z tych, którzy przebywali tu na przymusowych robotach. Zapytał, u którego gospodarza pracowałem. Jednocześnie dodał, że u niego pracował niejaki Kazik, który obecnie posiada piękną gospodarę pod Poznaniem. Rodziny są zaprzyjaźnione i odwiedzają się wzajemnie.

Wyjaśniwszy mu jego pomyłkę zapytałem, czy przypomina sobie spalony polski czołg, który stał obok jego

domu. Powiedziałem, że to była moja maszyna i że to właśnie ja przebywałem tu w czasie walk. Zrobiło to na gospodarza widoczne wrażenie. Poruszony zaprosił nas do środka domu. Mówił, że jako starzy znajomi zapewne będziemy mieli sobie wiele do powiedzenia. Przedstawił nas swojej rodzinie, a zwracając się do wnuków oświadczył, wskazując na mnie, że to jest „ten pan, co walczył o oswobodzenie nas od faszystów”. Tymczasem żona gospodarza zaprosiła nas do stołu na kawę, a on sam oświadczył, że ma dla mnie niespodziankę. Po chwili wręczył mi fotografię mojej spalonej „suki” i wraku hitlerowskiego dział pancernego. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś ujrzę swoje dział. Lzy zakręciły mi się w oczach; byłem silnie wzruszony, powróciły fale wspomnień żywych, jak gdyby to było wczoraj. Okazało się, że Paul Muschik wraz z rodziną powrócił do Teichnitz zaraz po zakończeniu działań wojennych. (Po przymusowej bowiem ewakuacji zarządzanej przez hitlerowców — przebywał kilkanaście dni pod Dreznem.) Jego syn miał aparat fotograficzny i on to wykonał te zdjęcia. Mówił, że nieraz wspominał te walki i zawsze grozą przenikał ich pamiętny widok poboju, a zwłaszcza spalonych dział pancernych.

Ja z kolei musiałem opowiedzieć wszystkie szczegóły toczonych wówczas boju pod Teichnitz. Dopiero teraz gospodarz dowiedzieli się, że była to polska maszyna, dotąd bowiem przekonani byli, że chodziło o czołg radziecki. Zapytałem o mogiłę Peterki, na co pani Muschik powiedziała, że była obecna na cmentarzu, w czasie, gdy przeprowadzano ekshumację zwłok poległych żołnierzy i że przypomina sobie ogólne zdumienie, gdy w jednej z mogił, takiej z brzoźowym krzyżem, nie znaleziono żadnych szczątków ludzkich. Obecnie zagadka została wyjaśniona. Opowiedziałem o symbolicznym pogrzebie dokonanym po przymusowej kremacji zwłok w działce.

Okazało się, że poboju długo jeszcze nosiło ślady zaciętych walk. Spalone działa pancerne — do czasu zabrania ich na złom — były widowym symbolem krwawych zmagania i ludzkiej tragedii, wyrazem zniszczenia i śmierci nieodłącznie związanych z wojną.

Spotkanie nasze zakończone wręczeniem mi na pamiątkę fotografii, płynęło w serdecznej i ciepłej atmosferze.

Pożegnaliśmy się jak starzy znajomi życząc sobie wzajemnie współzycia w przyjaźni i oby nigdy więcej wojny.

Wiktor Szaron — plk rezerwy

wiedzieć o Rembrandcie, choć zabiegają w księgarni, by im te wydawnictwa odkładać. Książki i albumy kupuje się, zwłaszcza te ładne, ustawia, odkurza i nie czyta.

Kilka przykładów nie może służyć do szerszych uogólnień, ale można powiedzieć, iż z reguły u większości osób stała obcowanie z książką kończy się zaraz po maturze. Nowe wydawnictwa pojawiają się w domu, gdy syn lub córka idą do szkoły lub na studia. W pięcioosobowej rodzinie czyta np. tylko syn, a i to z reguły kryminały lub powieści fantastyczne. Księgozbiór to także pozostałość po czasach szkolnych lub studenckich, potem nadechodzi okres macierzyństwa i „dorabiania się” i na książkę nie ma czasu.

Poznałem także osoby, które od lat nie kupiły nowej książki, ale korzystają z bibliotecznych punktów osiedlowych, bądź pożyczają u znajomych i rodziny. To jest związane ze wspomnianymi już kłopotami w księgarniach i z rosnącymi cenami książek, ale również jest to wynik niechęci do powiększania księgozbioru, by nie zawadzał w mieszkaniu, bo przecież raz przeczytana książka nie musi już stać na półce w domu, została „użyta”.

Ostatni przykład, jaki chcę opisać jest dosyć intymny, ale i zabawny. Otóż w gościnie u pewnego literata, którego mieszkanie jest dosłownie zalane książkami, znalazłem specjalną półkę, a na niej kilka pozycji „w czytaniu”, ulokowaną nie gdzie indziej tylko w ubikacji. Gospodarz zorientowany, że odkryłem jego „tajemnicę”, stropił się nieco, lecz uspokoiłem go:

— Doskonały pomysł z tą półką przy sedesie, muszę zrobić sobie podobną, gdyż już kilka razy książki czytane „na ustroniu” wpadały mi do umywalki i mokły.

Bronisław Kowalski

Blisko prawdy

Tadeusz Jasiński

ZA DUŻO lat ukrywałem to przed ludźmi, zbyt wiele śladów zatarałem za sobą, abym jednym zdaniem miał teraz przekreślić cały ten wysiłek. Nie powinna zła stawa mnie dgonić ani na Podlasiu w Rohatnicach, ani tu, w Lublinie, tak daleko od Dropów, Rogoźnica, Mokrego Lutola, Chyciny i Międzyrzecza, od wszystkich tych miejsc, a również innych, których nie znam, a może i one złączyły się także z moim nazwiskiem. W Poznaniu rozbrzmiewało ono głośno i groźnie z anteny i głośników ulicznych, krzyczało ze szpalt gazet, szło z ust do ust po całej lubuskiej ziemi. Najbardziej w czasie procesu w listopadzie i grudniu czterdziestego szóstego roku, a powtórzyło się w lutym roku następnego, kiedy dnia siedemnastego został wykonany wyrok. Śmierć zaciekawia ludzi, trup ożywia szpalty gazet i książek, ale potem wszystko znowu przyćmicha. I musiało przycichnąć, skoro minęło ponad trzydzieści lat od tamtego czasu.

Miałbym więc teraz tej obcej kobiecie zawierzyć moją najbardziej skrywaną tajemnicę? Miałbym objawić moją hańbę? Stracę ją jako promotorkę, a bardziej jeszcze jako kobietę właśnie... Kobietę? Kobietę — upewniłem się. Przecież wiem, teraz już wiem na pewno, że właśnie o nią najczęściej mi chodził, tego najbardziej mi żał. — Bądźże szczery, stary, podświadomie obawiasz się tego, co ona powie i także co pomyśli, lecz przemilczy przez delikatność. Ile wycedzi konwencyjnych zdań o odpowiedzialności osobistej człowieka za własne czyny, o indywidualnym życiorysie, którego my jesteśmy współautorami, a nie tylko życie i bleg wypadków — tych historycznych także. Co mi da takie zrozumienie? Co wreszcie ona po takim wyznaniu postanowi? Wszystko, co jeszcze się nie zaczęło i zapewne nie miało mieć nigdy początku naprawdę, może skończyć się zaraz i na zaw-

sze. Stań się więc ostrożny i przemysłny, abys tej szczerości, której Dobrosława oczekuje, nie zalał całym życiem.

Ale i tak ją okłamuję. Klamiemy nie tylko słowami. Nieprawdą są również nasze przemilczenia, które skrywają największe kłamstwa. Ileż to razy ludzie podawali mi rękę, ile razy mówili o sprawach, które dotyczyły takich jak ja właśnie, ale wysłuchiwałem tych potężających zdań, wchodziłem w ich ton, nawet wierzyłem, że moje myślenie jest takie samo, bo podobnie oceniałem czyni ojca. Tak ale czy mam jej za chwilę powiedzieć: pani docent, ja jestem... Nie, nie mogę tego zrobić, nie potrafię. Strach? Miłość własna? Przybliżenie odległych spraw? To spotkało mnie przez samo tylko sięgnięcie do rolek mikrofilmów i odbitek. Świadomość sobie to zadaje. Łaknę tych złych wieści z mikrofilmów już wczesnym rankiem, gdy się budzę i czekam godziny otwarcia czytelni. Lepiej więc, bym tam nie chodził. Już wtedy wzburza się we mnie przeszłość, której nie kształtowałem. Człowiek powinien rodzić się z próbki, w inkubatorze. Za nim byłyby tylko dzieje ludzkości w ogóle, a nie błędy i winy ojców. Nie jestem rodem z inkubatora. Mój ojciec w swoich lędźwiach nosił zadatki na mnie od własnego urodzenia, a przedtem jeszcze dziadkowie i praddziadkowie, i... nie sposób sięgnąć głębiej, bo nikt przed procesem nie utrwał sagi mojego rodu. Spisały ją dopiero dziesiątki rąk milicjantów, prokuratorów,

Dokończenie na str. 11

Kamena str. 5

Horacy ten wapniak

Zygmunt Mikulski

PRZYJAM się, że od dawnego czasu opadają mnie wątpliwości, czy mam prawo mówić o poezji. Inna rzecz, że wątpliwości te również zwalczałem — w imię Leśmiana, Staffa, Wierzyńskiego, Lechonia. A dlatego w imię, że równocześnie musiałbym tym twórcom odmówić prawa do tejże poezji reprezentowania. Rozumowanie proste: jeśli nie jest poezją Leśmianowski widzący, Staffowska kultura humanistyczna, Wierzyńska potoczność słowa i Lechoniowski nieklasyzystyczny klasyzm, nie mówią o poezji ci, którzy te wartości cenią, a w ich liczbie ja.

A zatem jakie słowa mam skierować do siebie? Ciągnij się do lamusa sarkofagu nastawiony na zdezelowaną pozytywkę, sklerozo nie potrafiąc wyczuć sensu nowego operowania słowem, ciężarze gatunkowy wiszący u nogi poetyckiej współczesności? Chętnie bym taką autoapostrofe wystosował. Tylko co zrobić z Leśmianem i innymi? Spiszę ich na złom, bo temu kawałowi metafizyki i piękna daleko do dzisiejszych kalek wyobraźni — kalek w znaczeniu powielanych kopii i w znaczeniu braku dyspozycji twórczych? Odrzucić tamto tylko dlatego, że już napisane, a przyjąc obecne bo wciąż napływające? Mistrzowie recenzji! (Nie wołam do mistrzów krytyki, tych nie ma). Czy nie zauważacie jak np. zmienił się Wierzyński od „Wróbli na dachu” do „Gorzkiego urodzaju”, a jak kurczowo swoich kanonów trzyma się

Różewicz, Białoszewski, Harasymowicz, Bryll? A mówi się, że współczesna poezja kanonów nie uznaje. Zresztą — może i racja. To nie kanon, to permanentny autoplagiat.

Popatrzmy na ten od dziesiątków (tak, dziesiątków) lat praktykowany powszechnie monotyp. To tak wygląda fakt, że dawna poezja się nie rozwijała, a dzisiejsza kipi nadmiarem rozsadzających ją treści? Nie było takiego zastojów jak dziś. Oryginalność dzisiejszego debiutanta polega na ortodoksyjniejszym niż u kolegi podchwyceniu „zasad” rozkojarzonej stylistyki, na intensywniejszym niż u kolegi narzucaniu do wiersza pajaków, pluskw i karaluchów — którymi dla tym większego zaskoczenia okazuje się sam tak zwielokrotniony autor. I co? Dalej będziemy szermowali argumentem, że współczesność w poezji dla zapewnienia sobie większej swobody pozbyła się gorsetu formalnego i dzięki temu osiąga jakąś otoność słowa? Najmilsza, otoność słowa, jak i wartość poezji, nie ma nic wspólnego ze stosunkiem do kodeksu Boileau. Można napisać wiersz nie tylko katarzynski, ale nawet częstochowski, a zawrzeć w nim widzenie żywe i interesujące, można napisać wiersz więcej niż biały, bo przezroczyście, a dać koncert schematyzmu i drętoty. Przykłady są.

Ale ja o tym, czy mam prawo mówić o poezji. Owszem, kiedy słyszę dyskretne milczenie, że tego prawa nie mam, bo mój słuch został ukształtowany w innej forma-

cji poetyckiej i nie nadają za zjawiskami dzisiejszymi, to nawet miałbym ochotę przyznać rację. Miałbym, bo to mimo zsyłki na czytelniczą emeryturę napelniloby mnie optymizmem jako świadectwo rzeczywistości, a tylko nie zauważonego przeze mnie rozwoju. Ale — powtarzam — proszę przekonać mnie, że poezja współczesna rzeczywiście się rozwija. Bo ja ją od roku 1956 widzę taką samą. Że powinna się rozwijać, że jej obowiązkiem jest się rozwijać — a, szanowny panie recenzencie, tu się zgadzamy. Niestety, jestem za starym wróblem i plew za ziarno podrzucić mi już nie można. Jest to jedna z niewielu dobrych stron starości, a nawet uważam, że przez ten wiek mam większą skalę porównawczą. Co jest o tyle ważne, że samo poznanie tekstów w bibliotece nie przynosi pełnego rozeznania co do ich funkcjonowania w świadomości za czasów, kiedy żyły, kiedy były w użyciu. Na przykład nie bardzo kto pamięta, że tak nagminnie dziś powtarzane „ocallé od zapomnienia” to refren „Pieśni” Gałczyńskiego, że „miejsce na ziemi” pochodzi od Przybosa i jest tytułem jednego ze zbiorów jego wierszy, że „widzieć wszystko oddzielnie” napisał Tuwim przedstawiając to jako ograniczającą cechę umysłowości drobniomieszczańskości. Niech przynajmniej w tym rozmiarze poproszę się jako świadek narodzin aktualności poetyckich.

Poza tym przepraszam bardzo. Jeszcze nie umarłem; jeśli w ocenie zjawisk poetyckich kieruję się kryteriami być może anachronicznymi, ale też jeszcze nie umarłymi, to wynika, że takie istnieją i w orientacji krytyczno-literackiej powinny być brane pod uwagę. Naśladowcom, sztampowiczom, ciulaczom wersów mam za złe nie ich młodość, ale nijakość. Co jest odwróceniem normalnego porządku: na wiek lat dwudziestu przypada „okres burzy i naporu”, nie układowość, posłuszeństwo redakcji i podporządkowanie wydawnicemu strychnicowi. Jeśli więc uniformizują się młodzieńcy, to cywilność profe-

si niech zachowują starcy. Tymczasem widzimy objawy inne: nawet ci, którzy z racji wieku powinni z owąd przechodzić na stronę owe (darujmy sobie nazwiska), ni stąd ni z owąd przechodzą na stronę owe go poetyckiego „informel” w obawie, by nie popaść w zapomnienie, by uniknąć dyskwalifikującej opinii, że „nie nadążają z duchem czasu”.

Nieprzystawanie epok. Oczywiście, ale dlaczego z tego powodu ja mam mieć zmartwienie? Ja sam? Jeśli mówię „drzewo”, a przez to rozumie się coś drzewopodobnego np. krzaczek, to kto tu popełnia pomyłkę? Jeśli mówię „poezja”, a przez to rozumie się coś poezjopodobnego, np. odejście od normy kojarzeniowej, to po czyjej stronie jest błąd? Jeśli między sygnałem a desygnałem zachodzi taka rozpiętość, to miałbym odwagę powiedzieć, że poezji nie ma, że poezja się skończyła, że to, co pod jej mianem dziś występuje jest gatunkowo inne niezależnie od tego, że realizuje się w tym samym materiale. W sprawach sztuki nie obowiązuje ani protokół dyplomatyczny, ani towarzyski konwenans, ani potrzeba podporządkowania się opinii społecznej.

Cóż kryteria pokoleniowe. Czy spiritus flat ubi debet? Raczej ubi vult. Młoda literatura powojenna zadebiutowała pomyślnie nie dlatego, że znalazło się w niej kilka młodych nazwisk, ale dlatego, że kilka utalentowanych pór. Później zaczęto kolejność odwracać. Każdy zestaw nowych nazwisk zaczęto uważać za utalentowany oddział. A ponieważ niecierpliwosć młodych i coraz młodszych popędzała, przestał obowiązywać okres tych choćby dziesięciu lat: pokolenie pojawiała się co cztery lata. Maluszko, a mówiło by się o pokoleniu styczniowym, majowym, sierpniowym. Kryterium pokoleniowe to znaczy: pokaż mi metrykę, a zależnie od tego przyznam ci rację, lub nie Kochani. Zacytować coś z Horacego, Wergiliusza, Owidiusza może już tylko ten, kto ma sklerozę.

Hanna Terpilowska *

Życie

Dales mi Boze
życie na własność
i noszę to życie własne ze sobą
od wschodu do zachodu
czasem je gubię
odnajduję
i dalej wlecze się ze mną pokorne
jak pies bezdomny
wierny
za ochlap rzucony niechętnie
trafiony
nie warknie
nie błysnie klami
w kącie boki obliże
i powlecze się dalej
to życie

Człowiek sporzy swemu domowi
chleb kładzie na stole
zmęczony zmierzchem
nóż do krajania obok

czas podłużył już
kusawą sukienkę dzieciństwa
i sierpień wiezie lato snopami do stodół

starcy nie pójda już popatrzeć na rzekę
słońce co wysoko
i gdzie tam starcom bezzębny do dziewczyn
kolorowych

słowa
zżółkłym liściem
nie zliczą myśli
żadnej jesieni

*) Autorka tych wierszy w ramach łezczenia rodzin wyjechała do RFN.

Kamena str. 6

Kaisyn Kuliew należy do najbardziej uznanych współczesnych poetów Związku Radzieckiego. Urodził się 1 listopada 1917 roku w jednej z wal północnej części Kaukazu. Zadebiutował mając siedemnaście lat, potem w latach powojennych często publikował swoje utwory w literackich czasopiśmie; wydał także sporo książek, najbardziej znane z nich to „Zraniony kamień” — wyróżniona Nagrodą Republiki przez Radziecką Federację,

oraz „Kalega Ziemi” — wyróżniona Nagrodą Republiki Związku Radzieckiego w 1974 roku. Decydujący wpływ na twórczość tego poety wywarły folklor, przyroda i język rodzinnych stron. Jego wiersze to swolite medytacje nad odwiecznymi problemami dotyczącymi życia i śmierci, dobra i zła, miłości, przyjaźni i sprawiedliwości. Poniższe wiersze pochodzą ze zbioru „Trawa i kamień”.

Kaisyn Kuliew

Oddychasz w wiosenny ranek kroplą słońca
zroszona
Twa skóra lśniaca jaśniej niż złoto
Braz sarnich nóg... Łabędzia szyja... Ramiona...
Me oczy nie dojrzały do takich klejnotów!

1938

Idąc przez życie mijamy odcinki dni i godzin,
Niesiemy nasze smutki, radości i troski.
Raz kąpiel w brylancie, co po niebie chodzi,
Raz śmiertelna śnieżycy i mur mgły tak szorstki.

Miłość to nie tylko księżycowa melodia,
To ostrze, które tnie jak wojenny miecz.
Raz przychodzi zbawienie, raz niechybna
tragedia,
Która pokój z serc naszych wypędza nam precz.

Miłość to szept płatków wiosennego kwiatu
Albo ostra igła niebiańskiego światła,
Zimowy sztorm lub marzenie jaskółczego lotu
I wieczny puls miłości-miłość nieupadła!

Czy słyszysz tę ciszę, jej łagodne dźwięki?
Niebo hojnie rozdaje swój serdeczny błękit.

Po burzy tak spokojnie trawa znou rośnie
I wiersz na papier sływa mi z pióra radośnie.

Jak cudnie skosztować w swym domu słodkiej,
radosnej drzemki
Po tylu latach ciężkiej, wojennej udreki.

Jak dobrze czuć przedsmak chleba w świeżo
zoraney ziemi,
Lekka chmura mgły w powietrzu się mieni.

I tylko czarna plama mąci slygi spokój
Zal, za tych co zginęli w swej walce o pokój.
1945

Krew rannego kamienia była mi bólu źródłem
I początkiem modlitwy, aby tak jak przedtem
Rosły na nim kwiaty. I z żalem patrzyłem
Jak konał uderzony wnet śmierci szyletem.

Smutkiem dla mnie było każde drzewo ścięte,
Zieleń bujnych ramion — tak ożywczy cień,
Gdzie kwiaty i trawa żyły niczym święte
I dziecięce zabawy kwitły każdy dzień.

Placz mój pożegnał tych, których już nie ma.
Tych, którzy przepadli lub zginęli w walce.
Ich las to i mego smutku czarna plama,
Bo tak ich kochałem. Więc płacze me serce.
1960

Przełożył
Zenon Miernicki

1961

ROZGRYWAJĄCE się w dnach 22-24 lipca wydarzenia w Lublinie pilnie obserwowali przedstawiciele konspiracyjnej administracji rządu emigracyjnego. Już 22 lipca, w związku z ucieczką Niemców, w trybie alarmowym zwołano naradę działaczy Delegatury Okręgowej RP, którą pod nieobecność delegata rządu na województwo Władysława Cholewy (był na odprawie w Warszawie zarządzanej przez delegata rządu — Jankowskiego) prowadził jego zastępca, działacz SN — Ołtmir Pożniak. Nie czekając na nowe instrukcje z centrali, omówiono na niej wiele istotnych szczegółów związanych z ujawnieniem administracji, a przede wszystkim wystąpieniem wobec Armii Czerwonej „w roli gospodarza”. Wówczas też ustalono tekst obwieszczenia, które miało być rozplakowane w chwili opuszczenia miasta przez wojska niemieckie, oraz wydano rozkaz miejscowym oddziałom Państwowego

się to wszystko w dniu najcięższych walk ulicznych...

Zródłem inspiracji do tych poczynań komendy miasta AK było i inne jeszcze wydarzenie. Otóż w dniu 22 lipca o godzinie 10.45 na falach radiotelegraficznej rozgłośni radiowej w audycji Związku Patriotów Polskich przekazano wieść o powstaniu PKWN i o objęciu przez władzę nad wyzwoloną ziemią polską w wolnym Chełmie oraz po raz pierwszy odczytano Manifest do Narodu Polskiego.

Toczące się w centrum miasta walki sparaliżowały jednak wszelkie środki łączności, stąd polecenia dowództwa AK nie dotarły do jednostek organizacyjnych, a komenda została praktycznie odcięta od dowództw rejonowych. Oddziały AK, które weszły do akcji w dniu 22 lipca, wobec nagłej zmiany sytuacji w Lublinie częściowo rozformowały się w oczekiwaniu na ustanie walk. Podobna sytuacja istniała i przez cały dzień 24 lipca.

skich istotnych przyczyn. Wydaje się jednak, że zaważyła na tym nieobecność w Lublinie W. Cholewy (powrócił z Warszawy pod wieczór 25 lipca) i w związku z tym niezadowolone części działaczy Delegatury — ludowców z okresowego „przejścia władzy” przez członka SN — O. Pożniaka (tarcia na tle wpływów partyjnych w Delegaturze lubelskiej pomiędzy ludowcami a endecją trwały od października 1941 roku, tj. od momentu mianowania W. Cholewy — delegatem). Dopiero 26 i 27 lipca uruchomiono wydziały wojewódzkie Delegatury

Na ulice miasta wprowadzone zostały patrole PKB, którego zadaniem, jak stwierdzała jedna z instrukcji na okres po wyzwoleniu kraju, było zapewnienie ładu i spokoju wewnątrz kraju przed wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym. W mieście pojawili się uzbrojeni żołnierze AK. Objęto służbę wartowniczą m. in. na kolei, poczcie, przy niektórych budynkach państwo-

bezpieczeństwa miasta i przedstawiło się jako legalna władza w województwie, oczekując jednocześnie formalnego uznania. Tymczasem od samego początku władze radzieckie zgodnie z otrzymanymi wytycznymi (Komunikat Ludowego Komisarzatu Spraw Zagranicznych ZSRR o stosunku Związku Radzieckiego do Polski, Porozumienie między PKWN a rządem ZSRR o stosunkach między radzieckim Wódczą Naczelnym a Polską Administracją po wkroczeniu Wojsk Radzieckich na terytorium Polski) sprawę legalności jakiegokolwiek władzy pozostawiały do rozstrzygnięcia przez PKWN. (Dowództwo sowieckie uchyliło się od jakiegokolwiek rozmów — stwierdzał w depeście z 26 VII Delegat Okręgowy — zapowiadając, że rząd polski z Chłomaładą dzień zjawi się w Lublinie i wyda wszelkie potrzebne dyrektywy).

Stanowisko takie narzucała wręcz istniejąca już w Lublinie w dniu 26 lipca sytuacja „dwa władz”. Otóż jeszcze 25 lipca w godzinach popołudniowych do miasta wkroczyła 100-osobowa grupa partyzantów Armii Ludowej z dowódcą II Obwodu ppłk. Grzegorzem Korczyńskim na czele oraz członkami WRN: Bronisławą Czarnotówną (sekretarz Prezydium WRN) i Władysławem Kuszykiem, a kilka godzin wcześniej przybyli do Lublina wraz z grupą 152 oficerów i podoficerów pełnomocnik Rady Wojennej I Armii WP — płk Edward Ochab i pełnomocnik PKWN ppor. Zygmunt Kratko, z zadaniem zabezpieczenia terenu i przygotowania miejsca dla PKWN. Obie grupy zakwaterowały naprzeciw siedziby Delegatury w budynku b. niemieckiego starostwa grodzkiego przy Krakowskim Przedmieściu 82 i od pierwszych chwil stały się nie tyle załadkiem, co faktycznym ośrodkiem władzy spełniającej w imieniu PKWN. Tu powstały pierwsze odezwy WRN i wychodziły pierwsze dyspozycje nowej władzy. W. Kuszyk tak wspomina te pierwsze chwile: Przechodziłem na umówione miejsce postoju naszych oddziałów w budynku przy ul. Krakowskiej Przedmieście 62, zobaczyłem naszych chłopców śpiących na podłodze, stołach i krzesłach, Grzegorz Korczyński zaś za biurkiem w niewielkim pokoiku przygotowywał tekst zarządzenia. Zaraz też wyszliśmy w poszukiwaniu drukarni. Przechodząc wskazaliśmy nam najbliższą, Pietrzykowskią. Była zamknięta i należało odszukać zarówno właściciela, jak i sekretarza, który złożyłby „Obwieszczenie” [...] Treść jego była natury porządkowej, wyznająca mieszkańcom do zachowania porządku i spokoju, powrotu do swoich codziennych zajęć, aż do dalszej decyzji władz centralnych, podpisana została: „Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Dowództwo II Obwodu Armii Ludowej”. Plakat odbity na czerwonym papierze o formacie 40 x 60 cm, rozklejony został wczesnym rankiem (26 lipca — przyp. I. C.) na terenie całego miasta.

W tymże dniu z grupą tą nawiązał kontakt przebywający w Lublinie pełnomocnik KEN J. Managiewicz (Szymon Żołna). Początkowo miał on zrozumiałe trudności z uznaniem jego pełnomocnictwa przez miejscowych działaczy (był człowiekiem nie znanym w Lubelskiem, posiadał tylko ustne pełnomocnictwa), wkrótce jednak sprawa się wyjaśniła (działalność jego — znał płk E. Ochab), a Szymon Żołna zaczął występować jako „Tymczasowy przewodniczący WRN”.

Jednocześnie działacze lewicy pragnęli jak najszybciej dotrzeć do społeczeństwa, a przede wszystkim do środowisk robotniczych. Już w chwili wkroczenia do Lublina partyzanci AL zaimprovizowali swego rodzaju wiec na Placu Łokietka. Podobne wieca, których celem było przedstawienie programu władzy ludowej zawartego w Manifestie PKWN, odbyły się w dniach następujących.

Tak komentowała je Delegatura: 26-go ukazały się pod firmą „Armii Ludowej” — Berlinga rozporządzenia o treści policyjno-porządkowej podpisane przez ppłk. Korczyńskiego, jako komendanta miasta, obejmującego widocznie władzę również nad ludnością cywilną. Równocześnie berlingowcy urządzili szereg lotnych manifestacji patriotycznych, wobec których tłum okazał się bezkrytyczny i mało odporny [...]. Naprzeciw mego biura rozpoczęła działalność instytucja pod szyldem „Rzeczpospolita Polska”, godło państwowe, „Lubelska Rada Narodowa”.

(c.d.n.)

LUBLIN PRZED I PO WYZWOLENIU 5.

DWIE WŁADZE?

Ireneusz Cabań

Korpusu Bezpieczeństwa (PKB) opanowania ważniejszych budynków publicznych w mieście, w tym przy Krakowskim Przedmieściu 43, który Delegatura upatrzyła sobie na swoją siedzibę.

Druk obwieszczenia i wykonanie rozkazów zostało jednak w godzinach popołudniowych zawieszona w związku z „powrotem do Lublina Niemców”. Stan pogotowia obowiązywał nadal. Wydarzenia dwóch następnych dni w sposób istotny zmieniły przewidywania Delegatury. Nie mogło już dojść do sytuacji, w której Delegatura Okręgowa RP wystąpiłaby wobec wkraczącej Armii Czerwonej jako w pełni „zagospodarowana” administracja rządu emigracyjnego.

Błyskawiczne tempo, w jakim Armia Czerwona podeszła pod Lublin, wywołało swego rodzaju zamieszanie w sztabie obwodu AK, utracono bowiem kontakt nie tylko z komendantem obwodu, ale i ze sztabem Komendy Okręgu i Inspektoratu Rejonowego „Lublin”. Wczesne i żywiołowe wejście do akcji plutonów AK oraz późniejsze zacięcie walki o miasto, postawiły Armię Krajową w Lublinie w trudnej sytuacji, uwzględniając zakładane cele polityczne. Założenia planu „Burza” stwierdzały bowiem, że należy dążyć do tego, aby naprzeciw wkraczącym oddziałom sowieckim wyszedł polski dowódca, mający za sobą bój z Niemcami i wskutek tego najlepsze prawo do gospodarstwa. W daleko trudniejszych warunkach w stosunku do Rosjan znajduje się dowódca i ludność polska, której uwolnienie od Niemców dokonane będzie jedynie przez Rosjan.

W pośpiechu dokonano reorganizacji sztabu komendy miasta (23 lipca). Wobec odcięcia „Kmicica” dowództwo obwodu przejął dotychczasowy zastępca — „Konrad” mianując swoim zastępcą inspektora obwodu Wojskowej Służby Ochrony Powstania ppor. W. Modzelewskiego, ps „Zawada”; uzupełniono również obsadę wakujących stanowisk w sztabie. Jednocześnie „Konrad” i „Zawada” — jak stwierdza meldunek dowództwa AK o wydarzeniach z 23 lipca — z chwilą wkroczenia pierwszych szpic sowieckich do Lublina, ujawniają się. Wydają rozkaz swoim podwładnym założenia opasek biało-czerwonych, a miasto każą ozdobić flagami narodowymi. A odbyło

25 lipca — pierwszy dzień wolności — był dniem istotnych wydarzeń. Już we wczesnych godzinach opanowanych na murach miasta pojawiło się obwieszczenie urzędowe Delegata Okręgowego RP zawiadamiające o objęciu władzy w Lublinie i województwie w imieniu rządu londyńskiego.



Manifest PKWN na ulicach Lublina.

Fot. Trachman

Mimo ukazania się Obwieszczenia Delegaturze nie udało się nawiązać w dniu 25 lipca zerwanym trzy dni temu kontaktów i rozpocząć formalnego „urzędowania”. Trudno dziś dociec wszy-

wych i magazynach. Również 25 lipca oficjalnie utworzono Komendę Miasta Armii Krajowej, która zajęła budynek przy ulicy Górnej 4. Dowództwo nad nią przejął ponownie „Kmicic”, który dotarł w międzyczasie do Lublina i po zameldowaniu się w Komendzie Okręgu przydzielony został do uporządkowania i zreorganizowania oddziałów AK w mieście. Wraz z nim wkroczył do miasta 100-osobowy oddział partyzantki, który stał się podstawą dla formowania batalionu lubelskiego AK. Zarządzona mobilizacja nie dała jednak spodziewanych wyników. Część plutonów z miasta okazała się niedyspozycyjna (nie wszystkie plutony AK z obwodu nawiązały kontakt z komendą miasta), a część po prostu istniała tylko na papierze. Jeszcze tego samego dnia zreorganizowany oddział „Kmicica” (batalion lubelski) otrzymał zadanie przejścia do miejscowości Biadaczka na przewidzianą tam koncentrację 8 pp AK, pozostawiając jednak w Lublinie część ludzi, których wyznaczono do służby wartowniczej i bezpieczeństwa. Dodajmy, że i zasadnicza część batalionu już nazajutrz powróciła do Lublina, gdyż koncentracja została rozwiązana wobec niestawienia się na nią większości przewidzianych oddziałów.

Ujawnienie się Delegatury Okręgowej RP i wejście jej w „rolę gospodarza” miało sens szerszy i ściśle określony w taktyce „obozu londyńskiego” (pisał się na ten temat w drugim odcinku niniejszego cyklu). Czy jednak w Lublinie spełniała ona tę rolę? Odpowiedź na to pytanie jest jednoznaczna: faktycznie było to tylko pozory władzy i działalności o wyraźnych cechach politycznych. Poza mianowaniem naczelników i organizacją szkieletowych wydziałów Delegatury, ogłoszeniem Rozporządzenia w sprawie bezpieczeństwa i porządku publicznego, nominacją prezydenta Lublina i wydaniu kilku upoważnień dla kierowników instytucji publicznych, działalność jej wypełniona została to protestami, to zabiegami o uznanie swego statusu prawnego przez władze radzieckie.

Już we wczesnych godzinach porannych 25 lipca kierownictwo Delegatury Okręgowej RP zameldowało się w radzieckiego Komendanta Wojennego Lublina, któremu podlegały sprawy

Kamena str. 7

Muzealnicy widzą to inaczej

OSTATNIMI czasy z wielką ochotą, a jednocześnie z pewnym zdziwieniem czytam „Kamena”, gdyż znajduję w niej coraz częstsze listy czytelników, którzy upodobawszy sobie ten dwutygodnik — jako trybunę do dyskusji — zgłaszają w nim uwagi, propozycje i zarzuty dotyczące działalności Muzeum Okręgowego w Lublinie.

Pan Andrzej Krakowski („Kamena”, 18.III.1979 r.) sugeruje zorganizowanie w Muzeum Okręgowym galerii lub działu fotografii artystycznej i dokumentalnej. Odpowiadam krótko: galerii takiej w najbliższych latach nie utworzymy, gdyż nie mieści się ona w statucie i profilu naszego muzeum. Natomiast fotografie dokumentalne gromadzone są przez różne działy muzeum od lat, o czym można się przekonać podczas zwiedzania wystaw czasowych oraz czytając uważnie nasze apele prasowe na łamach „Sztandaru Ludu” i „Kuriera Lubelskiego”.

Dla zilustrowania tego podaję, że zgromadziliśmy oprócz blisko 100 tys. eksponatów, także kilka tysięcy fotografii dokumentalnych z zakresu historii, archeologii i kultury ludowej Lubelszczyzny.

Przypominam także, że Muzeum Okręgowe nie pozostaje obojętne na sprawę popularyzacji fotografii artystycznej, a czym najlepiej chyba świadczy fakt udostępniania pięknych wnętrzy Bramy Krakowskiej na Ogólnopolskie Wystawy pn. „Konfrontacje”. Po ukończeniu prac remontowo-adaptacyjnych wszystkich pomieszczeń Zamku Lubelskiego jeszcze szerzej służyć będziemy salami ekspozycyjnymi na wystawy fotograficzne.

Korzystając z okazji pragnę przedłożyć wyjaśnienie Redaktorowi „Kroniki kulturalnej” („Kamena” 18.III.1979 r.), który powątpiewa o celowości lokalizowania Muzeum Historii Lublina w murach Bramy Krakowskiej. Otóż zdaniem władz politycznych i kulturalnych województwa, muzealników oraz zwiedzających muzeum, właśnie zabytkowa Brama Krakowska — będąca niemal znakiem wywoławczym i symbolem Lublina, otwierająca lubelską starówkę — w sposób idealny nadaje się na muzeum miasta, które w swojej blisko siedmiowiekowej pięknej historii było dwukrotnie stolicą Polski.

Realizacja słusznego od lat postulatu społecznego zawarta została w „Programie rozwoju kultury województwa lubelskiego na lata 1973—1990”, opracowanego przez grono fachowców i zatwierdzonego przez Egzekutywę Komitetu Wojewódzkiego ZPZR w Lublinie. W rozdziale wspomnianego programu dotyczącego muzealnictwa, zalecono utworzenie do 1980 roku Muzeum Historii Lublina właśnie w Bramie Krakowskiej, co też za kilka miesięcy będzie w pełni zrealizowane ku uciechu wszystkich — z wyjątkiem Redaktora „Kroniki kulturalnej”.

Jeszcze jedno. Nasuwa się smutna refleksja. Z „Programem rozwoju kultury województwa lubelskiego” zapoznane jest środowisko kulturalne regionu od dawna, a dopiero po 6 latach od jego zatwierdzenia i w końcowej fazie realizacji Muzeum Historii Miasta pismo społeczno-kulturalne wnosi swoje uwagi i zastrzeżenia. Myślę, że dobra zasada „Długo dyskutujmy przed podjęciem decyzji, ale bądźmy konsekwentni w jej realizacji” nie obowiązuje Redaktora „Kamena”, który anonimowo opracowuje „Kronikę kulturalną”. A szkoda!

Alfred Gauda
Dyrektor Muzeum Okręgowego
w Lublinie

P.S. Drodzy Czytelnicy. Ze wszystkimi pytaniami i wątpliwościami możecie się zwracać telefonicznie lub osobiście do Muzeum na Zamku (telefony: 250-01, 217-43). Myślę, że znacznie głębiej i wnikliwiej będziemy mogli podyskutować o lubelskim muzealnictwie, a przy omawianiu tematów interesujących szersze rzesze społeczeństwa, zaprosimy zawsze przedstawicieli „Kamena”.

ZUBOLEWANIEM przyjąłem fakt (nie tylko ja), iż inspirację epistolarną niektórych korespondentów „Kamena” stanowią wiadomości „nieoficjalne” (cyt. z nr 8/79, podkr. ZN), które — odnoszący takie wrażenie — genesis biorą w połowie drogi między maglem a ogródkiem szachowym na Placu Litewskim. Byłbym chyba skończył na ubolewaniu, gdyby nie to, że praktyka ta dotknęła ostatnio sprawy zbyt poważnej; dlatego też w sposób poważny, a po części oficjalny zechcę ustosunkować się do treści listu obywatela Andrzeja Słodkowskiego, zamieszczonego w nr-ze 8 „Kamena” z 15 kwietnia br.

Autor pisze na wstępie, że niepokoi go 20-letni już remont Muzeum Okręgowego w Lublinie. Bravo! Dyrekcja muzeum wdzięczna jest za wiadomość, że niepokój ten jest nie tylko jej udziałem i że długotrwały remont znajduje reperkusje społeczne. W tej części listu zgadzamy się całkowicie z jego autorem. Nie zgadza się jedynie (lecz drobiazgi to!) arytmetyka, bowiem remont Zamku połączony z adaptacją na cele muzealne trwa do-

piero 8 lat. Przy okazji dobra wiadomość — budowlani już wkrótce schodzą ze wzgórze zamkowego.

W dalszej części listu nadawca oskarża muzeum o czyny, które w myśl polskiego ustawodawstwa o ochronie dóbr kultury stanowią ciężkie przewinienie wobec prawa i społeczeństwa, karane zresztą z całą surowością. Pyta autor listu o zagrożony rzekomo los „dzieł sztuki, których z takich czy innych względów nie wystawia się na widok publiczny”. Supozycje autora idą dalej: „Mówi się więc, że obrazy trzymają się od lat na strychu, w warunkach urągających elementarnym zasadom konserwacji. Podobno niektóre z nich rozpadają się i jeszcze trochę, a pozostaną z nich gołe płótna i ramy”.

Trudno mi uwierzyć, że wyjaśnienie, jakie w tej sprawie chce złożyć, trafi do przekonania autora listu. Zapewnić mogę jednak ob. Słodkowskiego, iż gdyby część zasłyszanych „nieoficjalnie” przez niego wiadomości pokrywała się z prawdą, odpowiedź Dyrekcji Muzeum do Redakcji nosiłaby stempel zakładu karnego, bowiem jak mówi rzymskie przysłowie — ciężkie przestępstwo nie może pozostawać bez kary.

Oficjalnie informuję autora listu, Redakcję i reszcie wzburzonych słusznie Czytelników, że dziełom sztuki w Muzeum Okręgowym w Lublinie nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Znajdują się one pod stałą opieką konserwatorską sprawowaną przez fachowców wysokiej klasy. Niejedno muzeum w Polsce pozazdrościć może nam warunków, w jakich przechowuje się i konserwuje obrazy, stanowiące jeden z najcenniejszych zespołów muzealnych. W chwili obecnej dzięki własnej pracowni konserwatorskiej (która m. in. „uzdrowia” obrazy dla Zamku Królewskiego w Warszawie, a wcześniej uczestniczyła w ratowaniu zabytków Florencji) w muzeum nie ma ani jednego zagrożonego obrazu, co stwierdzam z całą odpowiedzialnością. Przykro mi, że ze względu na przepisy służbowe nie mogę demonstrować autorowi listu naszych magazynów wykonanych zgodnie z wszystkimi wymogami zabezpieczenia konserwatorskiego i według najnowszych wzorów techniki muzealnej. Zwiedzić może natomiast autor listu naszą Pracownię Konserwacji Malarstwa, by przekonać się, że obrazy w muzeum traktowane są jak pacjent w najlepszej klinice.

Dla całości sprawy odpowiem także autorowi na mniejszego kalibru zarzut, iż w muzeum nie wystawia się wszystkich dzieł sztuki. Po prostu jest to niemożliwe ze względów technicznych i konserwatorskich. Zgodnie z wieloletnią tradycją, normami prawnymi i przyjętą na forum międzynarodowym definicją, pierwszoplanową funkcją muzeum jest gromadzenie i zabezpieczanie zbiorów, udostępnianie zaś plasuje się dopiero na czwartym miejscu. Dlatego też wszystkie muzea świata eksponują niewielką tylko część swych zbiorów — od 2 do 15%. Zaznaczę tu trzeba, że Muzeum Okręgowe w Lublinie poprzez organizację licznych wystaw czasowych w siedzibie i poza siedzibą często granicę tę przekracza z myślą o jak najszerszym upowszechnianiu skarbów kultury narodowej.

Zygmunt Nasalski

Z-ca Dyrektora Muzeum Okręgowego
w Lublinie

Zamość w 35 leciu PRL

Muzeum Okręgowe w Zamościu wspólnie z Zamojskim Towarzystwem Fotograficznym organizuje w miesiącu lipcu 1979 roku wystawę fotograficzną „ZAMOŚĆ W 35-LECIE PRL”.

Organizatorzy zwracają się do wszystkich osób i instytucji dysponujących starymi fotografiami (pocztówki, zdjęcia obiektów, ulic, zdjęcia okolicznościowe) z lat 1944—1979 o ich wypożyczenie celem wykonania reprodukcji i powiększeń do formatu wystawowego.

Fotografie opatrzone notatką informacyjną (data i miejsce wykonania zdjęcia, temat, autor, adres właściciela) można nadsyłać przesyłką poleconą (w płaskich sztywnych opakowaniach) lub przekazywać osobiście w sekretariacie Muzeum Okręgowego w Zamościu, ul. Ormiańska 26, do dnia 15 czerwca 1979 roku. Organizatorzy gwarantują zwrot wypożyczonych materiałów po wykorzystaniu.

WIZJA LOKALNA

Dokończenie ze str. 3

nieszczęściu, jakie zgotował milionom faszyzm, i ona, jak się okazało, miała swoje bardzo osobiste szczęście. Aresztowana nagle w Warszawie przez Niemców, pozostawiła w mieszkaniu niemiowolę, aby zupełnie przypadkowo odzyskać podchowaną dziewczynkę po wojnie. Dziecko przeżyło dzięki opiece sąsiadów. Tak jak Piotr Kiriszczenko uratował życie dzięki Monice...

Sędziów, prokuratora i ławników zainteresowały też inne zbiorniki na wodę, których resztki widnieją do dziś w okolicach pola nr 3.

Niespodziewanie w całym obozie zamyka się wodę. Przy apelu wieczornym Niemcy ogłaszają, że kto będzie używał wody do picia lub mycia, zostanie ukarany śmiercią... Co za lotrostwo tak znęcać się nad niewinnymi ludźmi, a przede wszystkim nad dziećmi i kobietami! Skutki nie dają na siebie długo czekać. Starsze kobiety pokładają się na placu apelowym i codziennie liczą po 8—10 trupów, mimo że ci ludzie nie są ani biali, ani specjalnie głodzeni. Dostają to samo wyżywienie co my, mogą się w ciągu dnia wypaść. Cóż ci chłopci (wysiedleni z Zamojszczyzny — przyp. JJK) zawinił? Chyba tyle, że są Polakami...

Krematorium: autentyczne piece, takie same jak w Oświęcimiu, łazienka dla szefa tej strasznej fabryki, kości ludzkie, stół sekcyjny, na którym kro-

jono ludzi w poszukiwaniu kosztowności i wrywano im złote i srebrne zęby. Tylko dwóch sędziów dociera do tego ostatniego pomieszczenia: patrzą w milczeniu na cementowy prostopadłościan z otworem pośrodku, wychodzą po dwóch minutach w słoneczny, zieleniejący pejzaż, kończący się daleką ścianą jasnych domów Lublina, z których pierwsze z brzegu stoją w miejscu dawnej strzelnicy esesmanów...

Prawnicy z RFN ustawiają się frontem do kamery telewizyjnej i mówią po kilka słów do mikrofonu. Najbardziej elokwentny okazuje się być obrońca oskarżonego, mecenas Pilz, który m. in. dziękuje gospodarzom za umożliwienie mu poznania okropności Majdanka, obozu, gdzie też musiał przebywać jego klient, Karl Galka. Mecenas cieszy się z normalizacji stosunków między swoim krajem a Polską, pod której administracją znajdują się wschodnie tereny Niemiec...

Dreńwiejemy. W tym momencie sędzia Engelke stwierdza dobitnie, że on i jego koledzy zdecydowanie odzgnają się od wypowiedzi pana mecenas, wypowiedzi szczególnie niestosownej w tym właśnie miejscu.

A sędzia Sławomir Litwiński akcentuje: — O ile współpraca z sędziami i prokuratorami Republiki Federalnej Niemiec w dziele ścigania zbrodniarzy hitlerowskich układa nam się dobrze,

w myśl zasad prawnych, o tyle postępowanie niektórych obrońców przeczy podstawowym regulom etyki zawodowej, która winna ich obowiązywać.

Mecenas Pilz jeszcze raz zabiera głos: przy podpisywaniu protokołu. Prosi mianowicie o włączenie do dokumentu informacji, iż obecny tu mecenas Rizer, oskarżyciel posiłkowy w procesie przeciwko Karlowi Galce z ramienia rodzin zamordowanych na Majdanku Żydów, jest jednocześnie obrońcą esesmana w procesie düsseldorfskim... Strona polska i zachodniemiecka zgodnie odrzucają wniosek teglego, jowialnego pana, trzymającego w dłoniach tyrolski kapelusik. Herr Pilz zdaje się nie przejmować takim obrotem sprawy — ostatecznie zyskał znow 500 marek, jako że każdy dzień fizycznego udziału w sprawie daje mu taką właśnie kwotę, jak zresztą każdemu innemu obrońcy z urzędu w RFN. A trzeba wiedzieć, że prawie wszyscy oskarżeni o zbrodnie ludobójstwa korzystają w Republice Federalnej Niemiec z obrońców urzędowych. Czy nie wyjaśnia to po trosze faktu długotrwałości owych procesów, ciągle komplikowanych przez kruczki prawne, stosowane przez niektórych adwokatów?

Ireneusz J. Kamiński

KRONIKA KULTURALNA

Wystawa pamiątek młodzieży szkół miasta Lublina poległej w II wojnie światowej zgromadziła w Bibliotece Pedagogicznej 150 zdjęć, wiele listów oraz inne dokumenty, które zebrał Sławomir Lubiński, sędzia Główny Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Tragiczną w swym wymowie i wzruszającą ekspozycję obejrzało wiele osób, wśród których byli też krewini polscy czy zamordowanych młodych Polaków.

Interesującą wystawę pięćdziesiąt i medal z okazji Polski Ludowej otwarto przy końcu kwietnia w Muzeum Okręgowym w Lublinie, które posiada duży i wartościowy zbiór numizmatów.

Działający w Zbiorowej Szkole Główniej w Poniatowej zespół Scholastic Minoras Pro Musica Antiqua, kierowany przez Danusią Danilewicz, wyjechał przy końcu kwietnia na XXVII Europejski Młodzieżowy Festiwal Muzyczny w Neerpelt (Belgia). W godzinny program nie sposób znaleźć nie sławę wieloletnią znaną z koncertów i występów wokalnych, renesansu, baroku i klasycyzmu.

Na pytanie, co jest najważniejszą cechą charakteru śpiewania, prof. Józef Bok, docent w warszawskiej PWSSM, odpowiedział rzeczami: „Kultura i wykształcenie, postulat: wychowanie przez sztukę. Więcej, uważam, niż wysłowienie i społeczne znaczenie chorów Społecznego Ruchu Muzycznego, jak szerzej niż muzyczne.”

Na początku maja odbyły się uroczystości X-lecia Chóru Akademickiego UMCS, którym patronował rektor uczelni, prof. dr Wiesław Skrzydło. Na program jubileuszowy cennego zespołu złożyły się koncerty, seminarium dla dyrygentów i członków chóru, spotkanie chórzystów z władzami województwa, miasta, uczelni i organizacji studenckich.

W oparciu o prywatny zbiór Eweliny Bartosiewicz powstała w Naleczynie galeria sztuki

współczesnej, która ekspozycyjnie będzie malarstwo, rzeźbę i wyroby sztuki stosowanej.

30 kwietnia na jednym ze skwerów centrum Łodzi otwarto indywidualną wystawę rzeźby Bogdana Markowskiego z Lublina. Zestaw prezentowany będzie następnie w Szczecinie i Lublinie, dzięki czemu mieszkańcy naszego miasta będą mogli szerzej zapoznać się z tą interesującą twórczością młodego artysty, absolwenta PWSSP w Gdańsku.

Lubelskie Przedsiębiorstwo Budowy Pieców Przemysłowych „Piecobudowa” przygotowuje się do urządzenia ośrodka rekreacyjno-szkoleniowego w Suchodolach koło Fajszawicy, gdzie znajdują się: dwór neoklasykistyczny, park i stawy. Pierwsza prace — w czynie społecznym — rozpoczyna się w tym roku.

W dalszym ciągu niekiedy nie tracąc o zabawkę źródła, znajdują się w obrębie dworca PKK przy al. 1000-lecia w Lublinie. PKZ odmawiają przyjęcia rzeźbienia na remont i konserwację sympatycznej (choć okrutnie zanieszczonej) budowli, tłumacząc się pełnym przebiegiem zamówień, do którego nie już nie da się wstąpić. Ale czy nie znalazłby się ktoś, kto za darmo, w czynnie, wyciągnąłby rękę i zaniósł jej wnętrze, może przecie?

Przy końcu kwietnia i na początku maja w Muzeum w Kraśniku czynna była wystawa malarstwa Eugeniusza Pola pt. „Akt kobiecy”.

Jako rezultat ogólnopolskiego konkursu fotograficznego w Muzeum Okręgowym w Chełmie urządzono wystawę pt. „Sztuka ludowa i jej twórcy”. Wzięło w niej udział 28 autorów, którzy pokazali 94 prace.

Ciągle aktywny studencki DKF „Bariera” UMCS zorganizował przy końcu kwietnia kolejne interesujące seminarium pod hasłem „Lektury reżyserów — kino wobec literatury współczesnej”. Wyświetlono kilkanaście filmów, wygłoszono prelekcje. Wystąpiła Genia Chwilowa.

PAULINE Kael, to „enfant terrible” amerykańskiej krytyki filmowej (wybor jej pisan krytycznych pod tytułem „Co dzieje w kinie” w tłumaczeniu Wandy Wertenstein i z obszerną przedmową Krzysztofa Mętraka przeminał niedawno jak blyskawica przez półki naszych księgarń) napisała kiedyś, że Jane Fonda będzie dla filmu lat siedemdziesiątych tym, czym w latach trzydziestych była Betty Davis. I właściwie nie pomyliła się. Córka Henry Fonda nie tylko nie zniknęła w cieniu swego ojca ale — jak Betty Davis — wyrosła na aktorkę wielkiego kalibru i o nieprzeciętnej osobowości chociaż jej osobowość opiera się na innych przesłankach niż ta, jaką reprezentuje znakomita gwiazda Hollywoodu z czasów jego największej świetności. Swoje czterdzieste urodziny święci Jane Fonda drugim już „O-

scenariusz” w przedstawianym problemem Kael zapominając o tych, czy innych postulatach. (Przy okazji: pamiętajmy, że Fred Zinnemanna, którego nazwisko tak bardzo kojarzy nam się z nowoczesnym westernem albo ostatnimi filmami typu „Dzień szakala”, naprawdę dał o sobie znać już w 1944 r., realizacją „Siódmy krzyż”, nakręconego według słynnej antyhitlerowskiej powieści Annę Seghers. Zresztą „W samo południe” podejmuje problem bierności społeczeństwa przeciw narastającej przemocy, a zrealizowany w 1953 r. i nagrodzony „Oskarem” film „Stąd do wieczności” poddaje z kolei krytyce stosunki w armii amerykańskiej.) Fonda nie przypadkowo angażuje się do filmów reżyserów walczących o inny, lepszy wymiar amerykańskiej rzeczywistości. Jej udział w tych filmach wynika nie tylko z zawodu

młoda, zgrabna, piękna, pociągająca, nie kępowała ją nagoda na ekranie ani występowanie w „Amitych” — jak się wówczas mówiło — sytuacjach. Kiedy w 1963 r. znalazła się nagie pod wrażeniem „paryskich nocny barykad”, kiedy zaczęła się pokazywać wśród młodych kontestatorów, a następnie brać udział w manifestacjach przeciwko upodleniu Murzynów w Stanach Zjednoczonych, przeciw ograniczeniu Indii czy też zajmowała zdecydowane stanowisko wobec wojny w Wietnamie — wydawało się, że to tylko kaprys lub przeżywcza egzaltacja młodej, trochę znużonej życiem, bogatej dziewczyny. Tymczasem Jane Fonda latami nie zamierzała zmieniać swojej postawy. Rozstała się z Vadimem wróciła do Stanów. W rok po „Barbarelli” zagrała jedną z głównych ról w ambitnym, demaskatorskim, gorzkim filmie Sydneya Pollacka „Czyż nie



O dojrzewaniu gwiazdy

aktorki, ale także, a może w ostatnich czasach nawet raczej, z faktu osobistego zaangażowania w walkę polityczną, z rozwijania się jej światopoglądu, z jej statusu działaczki postępowej. Jak młoda, niewypierzona, utalentowana pisarka w „Julii”, tak samo Jane Fonda przeżyła w pewnym momencie bardzo ważny próg życiowy, który tak trudno pokonać wielu ludziom, a jeszcze trudniej młodym, pięknym aktorkom.

Córka mekiej supergwiazdy filmowej, wychowana w luksusie, w bardzo specyficznym środowisku, gdy zdecydowała się na karierę aktorską, miała przed sobą perspektywę drogi usianej różami. W wieku kilkunastu lat była wprawdzie tylko jedną z tysięcy starterek amerykańskich, dziewczyną o długich nogach i z bardzo konwencjonalną, pokrojoną w łoczi fryzurą, chodzącą na „szpilkach” i w rozkłoszowanych spodnicach, ale posiadała dwa wielkie atuty: przede wszystkim słynne nazwisko, po drugie — rysy twarzy przypominające jej ojca. Pierwszą rolę filmową zagrała mając 15 lat w filmie Joshua Logana „Tail Story”. Wyjechała do Europy, przebywała we Francji, w Paryżu; w pewnym momencie świat obiegła wiadomość, że córka Henry Fonda'y wyszła za Rogera Vadima, że zastąpiła w jego filmach Brigitte Bardot. Dalsza droga życiowa Jane wydawała się do przewidzenia. W 1963 r. zagrała główną rolę w „Barbarelli” jako komiksowa „przyszłościowa” sex-bomba. Była

dobija się koni”, nawiązującym do wielkiego amerykańskiego kryzysu ekonomicznego z lat trzydziestych. W dwa lata później był „Klute” Pakull. Jane Fonda okazała się doskonałą aktorką dramatyczną. Działalność polityczną przysparzała jej mnóstwo kłopotów: miała telefon na podziemiu, FBI sprawdzało jej listy. „Przez kilka lat — mówi w jednym z wywiadów — byłam przedmiotem oszczerej kampanii wywołanej przez Nixona i jego rząd, do której przyłączyła się prasa. [...] Zakładanie wojny w Wietnamie, afera Watergate, odruch sumienia u Amerykanów i rozwój ruchu feministycznego sprawiły, że mogłam znów występować, bowiem walka, która prowadziłam, uczyniła mnie znaną...”

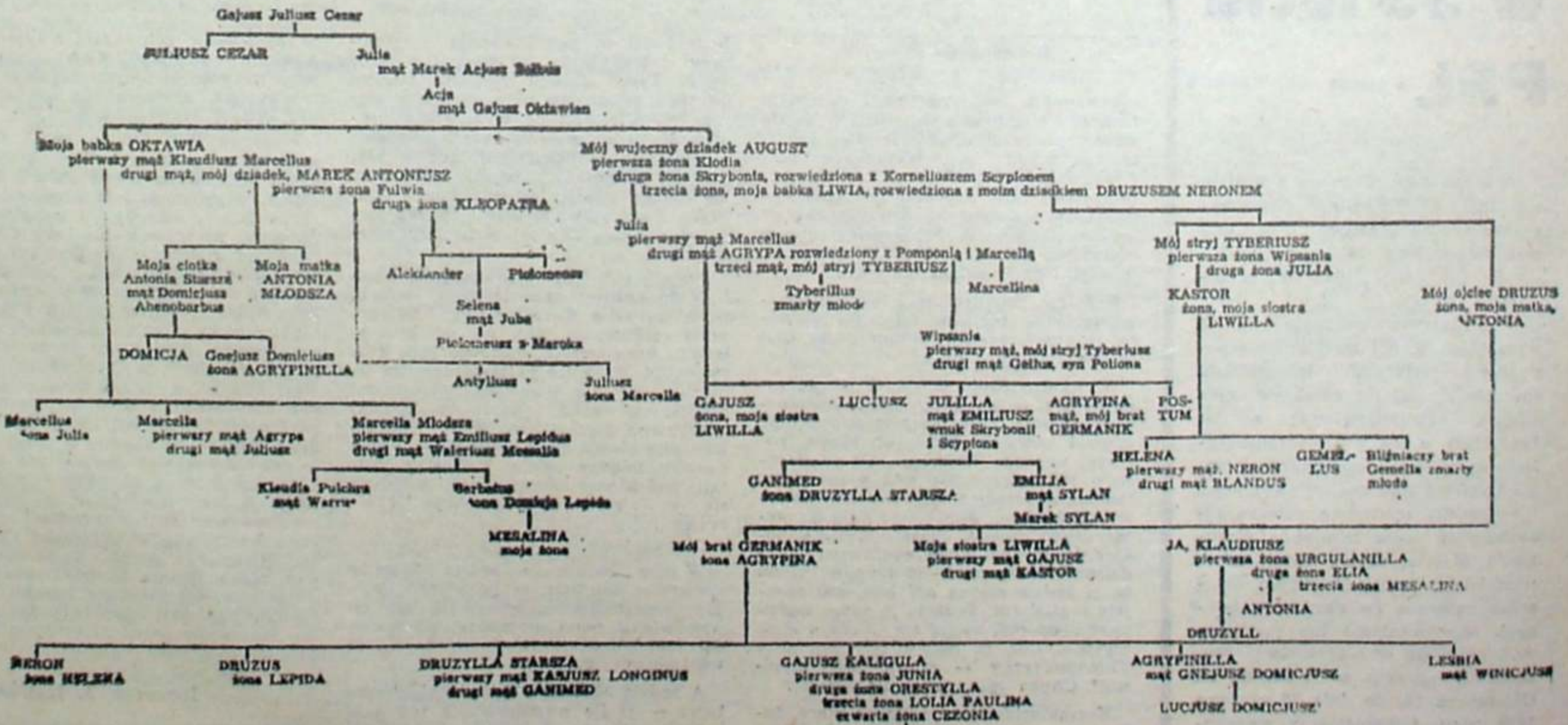
Mieszka dzisiaj z dziećmi i mężem Tomem Haydenem, mało znanym politykiem, w zwyczajnym mieszkaniu albo na swojej farmie. Stara się uciekać od tego wszystkiego, co proponuje hollywoodzki sukces. Żyje zwyczajnym życiem. Gra, pisze scenariusze, wspólnie z Burce Gubertem założyła wytwórnię filmową, aby móc kręcić takie filmy, w jakich może się najpełniej wypowiedzieć. Stała się wielką aktorką, posiadaczką dwóch „Oscarów”. Jest piękna, ma czterdzieste lat i znalazła swoją drogę życiową. Paulina Kael nie pomyliła się co do niej, chociaż może nie tak akurat wyobrażała sobie rozwój kariery córki Henry Fonda'y.

M.D.

KTO JEST KTO W „KLAUDIUSZU”?

Emitowany przez TV serial „Ja, Klaudiusz” wzbudził znaczne zainteresowanie widzów. Trudności sprawia im jednak zorientowanie się, kto jest kto, wśród wielu występujących tam osób. Robert Graves zdawał sobie z tego sprawę i w swym dziele zamieścił drzewo genealogiczne cesarzy rzymskich.

Polski przekład Stefana Essmanowskiego obu książek Gravesa „Ja, Klaudiusz” oraz „Klaudiusz i Messalina” został wydany przez PIW w 1973 roku. Z tomu „Ja, Klaudiusz” przedrukujemy to drzewo genealogiczne, by ułatwić czytelnikom „Kameny” oglądanie serialu.



Przyjęty przez Newa. (Przyp. mał.)

NOS

Andrzej Lipiński

MINI-ENCYKLOPEDIA MEDYCyny w zarysie

ANGINA — z j. łacińskiego; angina, angina, angina. W medycynie oznacza jest tylko rodzaj choroby tej choroby, czyli angina. Na rodzaj choroby i niejaki ludźmi nie chcą jakoś chorować.

BIZKA — ciało obce, którego obecność we własnym ciele na ogół nie dostrzegamy.

CIOTA — substancja wiotkająca niezwykle szybko pod wpływem uścis.

IKSYAZA — stan wyższej niestetyczności.

EWOLUCJA — proces przemian jaki teoretycznie posiadał człowiek od czasów prehistorycznych, kiedy to praktycznie był małpą.

PLENY — czynność poprzedzająca inną czynność.

JEDNOSTKA — od jednostkowego lub pojedynczego. Mała jednostka chorobowa.

JEDNOSTKA CHOROBY — pojedyncza choroba, na którą wszyscy mogą zachorować.

KLIN — urządzenie do wybijania innego klinu. Półka dla klinu.

KLIN KLINEM — metoda dobijania samego siebie.

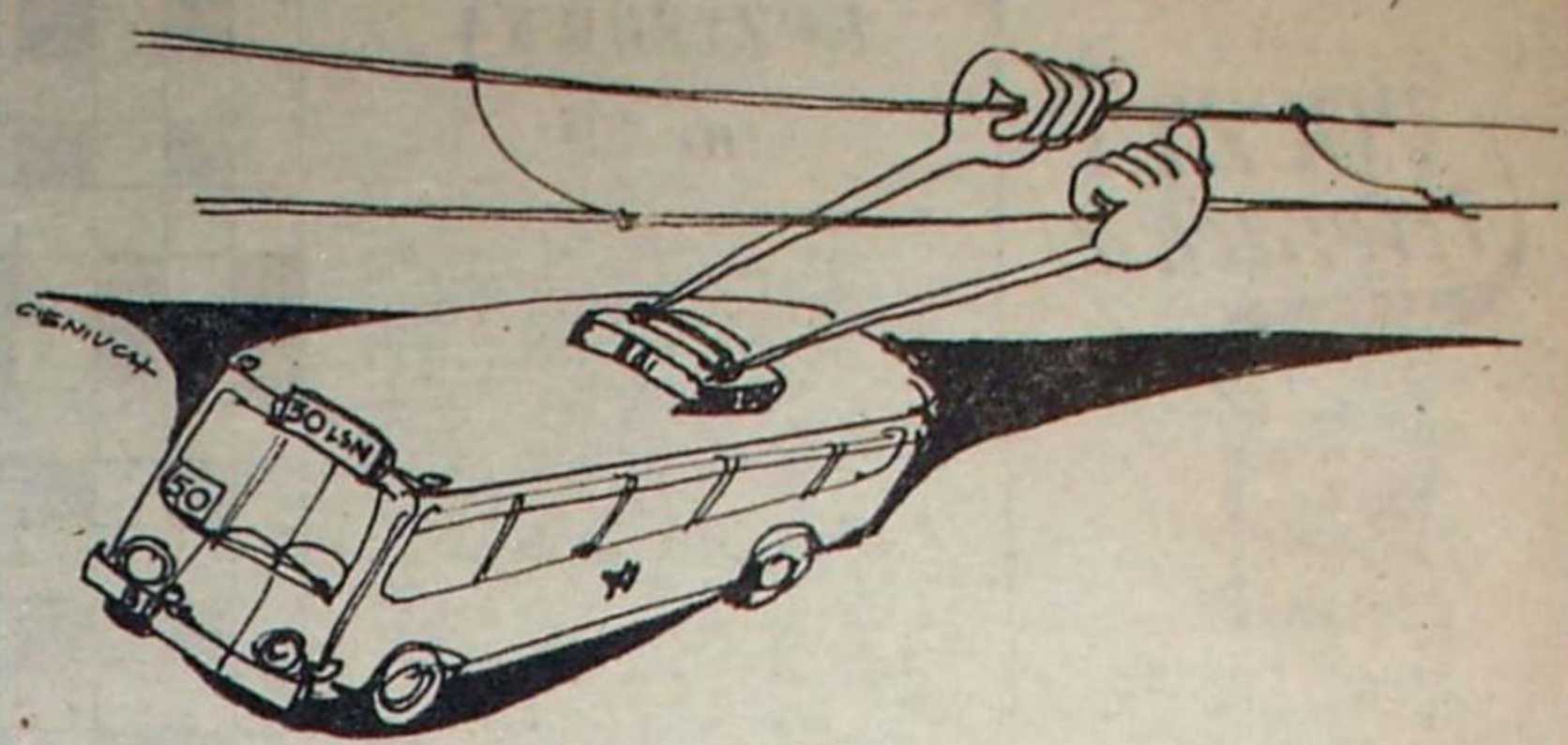
KROKOWZROZCZNOŚĆ — wada wzroku pozwalająca widzieć tylko koniec własnego nosa.

LATAWIEC — pacjent szukający porady z nosa do nosa lekarza.

NIEBOSZCZYK — człowiek, który nie odrywa jest nosa do medycyny.



Rys. J. Hordofski



Rys. Zb. Ciesielski

Bogusław Wieczorek

FRASZKI

BEZ WĄTPLIWOŚCI

To fakt: niejedem lekarz ma prawdomórną twarz.

PRZYSŁOWIE

Znane przysłowie tak oś tłumaczą: jajo mądrzejsze od kury. Nie gładź.

ZBYTECZNA FATYGA

Nie strój, proszę, blama z siebie! I ani zrobisz ze za siebie.

PUNKT HONORU

Z czasem punkt honoru może stać się planą na honorze...

IMPREZA ROZRYWKOWA

Można się rozzerwać, gdy w spektaklu przerwa.



K. Borowski

Jerzy Krzysztof Misiec

DEDYKACJE

WSPÓLCZESNEMU POECIE

bez serc bez ducha i innych części ciała.

SOBIE

do kontestatorów nie dorosłem więc cenzuralny jestem od a do o nie nie nie dorosłem więc wieszczęm mogę zostać w swojej szkole obłądu młodym zbuntowanym nihilistą absolutnym nad sensem podumać (wstydliwie zapłakać) i za miliony cierpieć (według obowiązujących stawek).



Rys. J. Witkowski

Marek Adam Jaworski

Myśli na niby

W brudnej wodzie trudniej rybę oddychać, ale chować się łatwiej.

„Ile mam żądać?” — zapytał uprzejmie oskarżonego prokuratora.

Zanim zaklął, zmówił pacierz.

Poplątało mu się. Napisał, że nocna wyprawa do rnek. Teraz nie może opędzić się od naukowców.

Jeden wychodzi na ludzi, a drugi — do ludzi.

Miał lęk przestrzeni. Międzyplanetarnej.

Poszedł z torbaną. Wrócił, gdy będą pełne.

Trząsnął się jak galareta. „Gdzie pan zdobył żelatynę?” — spytał go tłum.

„To jest krecia robota!” — zawołał. Ale gleby spulchniać już nie musiał.

Myśle, więc jestem. Czyli: nie myślę, więc mnie nie ma. Najlepszy dowcip wieczoru.

Szedł przez życie przebojem. Był wziętym piosenkarzem.

Nowość nie tylko dla dzieci: zapalniczki bez lebków.